

Złośnica nie-poskromiona

Przed premierą „Poskromienia złośnicy” w Teatrze Kameralnym z reżyserami ANNA POLONY I JÓZEFEM OPALSKIM rozmawia Joanna CHOJKA

– Dlaczego wybitna aktorka chce również reżyserować?

Anna Polony: Może Żuk odpowie na to pytanie. Ja nie będę oryginalna. Józef Opalski: Myślę, że stało się tak, ponieważ Anna Polony...

A.P.:...przeżyła kryzys aktorstwa. Ojej, powiedz to. Ja przecież nie mogę.

J.O.: Myślę, że Anna Polony dlatego poszła na reżyserię, ponieważ chciała zostać moją studentką. To był główny powód.

A.P.: (śmiech) Fajne to!

J.O.: Ja zresztą bałem się jej jak diabeł święconej wody. Tak jak wszyscy – komisja była bardziej zestresowana niż ona.

A.P.: No, ja też byłam w wielkim stresie.

J.O.: Myślę, że Hani w pewnym momencie przestało wystarczać patrzeć tylko z aktorskiej strony – budowanie roli bez wpływu na koncepcję przedstawienia. Wiele razy, przyjmowała funkcję asystenta reżysera, tak naprawdę zawsze ją to interesowało. I chociaż na egzamin wstępny trzeba ją było wnieść, bo nie chciała wejść dobrowolnie, to przecież była to jedna z jej wielkich ról aktorskich. Tak zaczynała swoje studia reżyserskie. Jej spektaklem dyplomowym było „Poskromienie złośnicy”.

A.P.: Ale nie pierwszym przedstawieniem. Bez papierów, „po amatorsku” wyreżyserowałam wcześniej, za namową Konrada Swinarskiego, „Dwoje na huślawce” Gibsona. Zresztą, dyplomowego „Poskromienia złośnicy” potem mi nie zaliczono. Po egzaminie praktycznym nie napisałam od razu pracy pisemnej. Brakowało mi czasu – krepiliśmy wtedy z Andrzejem Wajdą „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Kiedy po kilku latach zdecydowałam się na skończenie studiów, nie został żaden dokument potwierdzający zaliczenie przeze mnie egzaminu.

– Trzeba było powtarzać egzamin?

A.P.: Na szczęście, nie. Miałam już wtedy na swoim koncie inną pracę reżyserską, „Igraszki trafu i miłości” Marivaux.

– Twierdzi Pan, że w sztuce coś naprawdę wartościowego rodzi się w atmosferze konfliktu. Zgodnie z tą metodą, spierała się Pani kolejno z Hübnerem, Swinarskim, Wajdą, Jarockim...

A.P.: Ze wszystkimi w ogóle.

J.O.: To dlatego, że Ania sama grała w „Poskromieniu złośnicy” w reżyserii Zygmunta Hübnera. I została nawet poskromiona...

nie staram się myśleć o całościowej wizji spektaklu. Widocznie jest to instynktowne, podświadome. Zaczynam się reżyserowi wtrącać – a kto to lubi?!

– Czyżby konflikty pojawiły się dopiero razem z Pani doświadczonym reżyserem?

A.P.: Wcześniej spierałam się z reżyserami, kiedy próbowali narzucić mi swoją wizję roli, żądali obcych dla mnie środków wyrazu, innego modelu aktorstwa. Miałam takie konflikty z Jerzym Jarockim – moja emocjonalna gra nie pasowała do jego chłodnego, zrodzonego z intelektualnych spekulacji teatru.

– Jak układała się Pani współpraca z Jerzym Grzegorzewskim? Czy udało się pomieścić Pani osobowość w rolach zredukowanych do kilku kwestii, traktowanych jako sygnał, znak rozpoznawczy, cytat?

A.P.: Teatr Grzegorzewskiego, wbrew pozorom, jest emocjonalny.

J.O.: Oczywiście. Jurk szuka zawsze najlepszych aktorów, ponieważ forma w jego teatrze polega na oddawaniu nastroju. Nie znam lepszej inscenizacji Czechowa niż „Dziesięć portretów z czajką w tle” Grzegorzewskiego – wyciągnięta została esencja tej genialnej dramaturgii. Gdyby nie miał aktorek tej klasy, co Polony, Budzisz-Kizyżanowska, Karkoszka, Dymna, nigdy by tego nie zrobił. Z ich talentu, ich emocji, „duszy” wydobyt to, co u Czechowa najważniejsze – niemożność porozumienia między ludźmi. Zredukowany tekst nasycony został gestą, rozedrganą osobowością.

A.P.: Emocjonalne było każde przejście, spojrzenie, każdy gest znaczony. Myślę, że podobny typ teatru prezentuje Krystian Lupa. Z emocjonalnej wibracji aktora „zbiera” wszystkie nastroje potrzebne do budowania obrazu.

– Czy sprawdza się „metoda spleć”, jeśli to Pani występuje jako reżyser?

A.P.: Byłam apodyktyczna, ale lubię aktorskie sprzeciw i kontrapozycje. Nawet, jeśli w pierwszym momencie odrzucam czyjś pomysł, później myślę nad nim i próbuję go zrozumieć. Z tego może zrodzić się nowe rozwiązanie. Wszystko jest dobre – nawet konflikt między reżyserem a aktorem – jeśli towarzyszy mu umiar. Może być twórczy – jeśli nie prowadzi do wzajemnego zniechęcenia, szarpaniny.

– Niektórzy żartują sobie, że efektem Pani zmagania reżyserskich

– Przyznaje się Pani, że jest sekutnicą?!

A.P.: Niestety, znowu robię przedstawienie o sobie. Bardzo to lubię. Ale nie jestem sekutnicą, tylko złośnicą. Trzymajmy się tłumaczenia Słomczyńskiego. Jestem mu wierna, bo przekład ten powstał na moje zamówienie, kiedy przygotowywałam przedstawienie w szkole.

– Porozmawiajmy o Szekspirze komediowym. Spektakle Konrada Swinarskiego, w których brała Pani udział, odkrywały w tych tekstach ich ciemną stronę. Jad sączy się spod komediowej powłoki. Swinarski pokazał świat okrucieństwa, perwersji, zła.

A.P.: Swinarski najpierw zrobił „Sen nocy letniej”, a potem „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”. Te dwie realizacje na pewno wycisnęły ogromne piętno na moim rozumieniu komedii Szekspira. Uważam jednak, że „Poskromienie złośnicy” jest mniej gorzkie. To naprawdę wesola komedia.

– W tej wysokiej farsie niepokoi jednak brutalność protagonyści...

A.P.: Oczywiście, jest tam kilka momentów zupełnie nie do śmiechu. Nie zdradzajmy jednak wszystkiego.

J.O.: Swinarski pokazał nam, że w komediach Szekspira – podobnie jak w życiu – pewne sytuacje psychologiczne odstawiają tragiczną podszewkę, choć pozornie wesolego świata. Choć „Poskromienia złośnicy” nie można sytuować na jednym poziomie ze „Snem nocy letniej” i „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” – to i tutaj da się odnaleźć ślady tamtych interpretacji.

A.P.: Zwłaszcza w koncepcji głównych bohaterów. Dzisiaj nikt już nie powie, że mężczyzna powinien tak właśnie postępować z kobietą. Relacje między Kasią a Petruccioem przenoszą się na całe grupy ludzkie – to już nie jest walka płci, ale kwestia metody.

– G. B. Shaw uważał „Poskromienie złośnicy” za próbę „realistycznego uokazania usłowania cynicznego łowcy posagów, pragnącego zbrać ducha niewinnej kobiety poniżeniem i głodzeniem jej”...

J.O.: Niegłupi był ten Shaw! U Szekspira ludzie funkcjonują w społeczeństwie podzielonym na klasy. Petruccio szuka pieniędzy i każda metoda jest dla niego dobra. A że w dodatku dziewczyna jest atrakcyjna, nie tylko zamożna – to jego szczęście.

– Kto zagra Petruccia w Państwa przedstawieniu?

A.P.: Jacek Mikołajczak. W spektaklu wystąpi wielu wspólnych aktorów tego teatru.

J.O.: Ja znam ten zespół wcześniej. Starłem się przyjechać do

A.P.: (zdziewienie pomieszane z oburzeniem) A przez kogóż to?

J.O.: Przez Petrucchia, oczywiście.

A.P.: Ale to był Wojtek Pszoniak – kto by mu uwierzył! (śmiech)

J.O.: Potem już nikomu nie udało się poskromić Ani.

A.P.: I dlatego, że jestem taka nieposkromiona, niewiele teraz decyduje się na współpracę ze mną. Uciekają ode mnie reżyserzy. Jestem coraz gorsza... Katarzyną. I nie ma żadnego Petrucchia. (patetycznie) O, Petrucchio, może byś się zjawił wreszcie! (śmiech). To żarty – cierpię nie tylko dlatego, że jestem nieposkromiona. Dla aktorki w... pewnym wieku coraz trudniej jest o wielkie zadania. W ogóle dramaturdzy – przeważnie mężczyźni – piszą dobre role przede wszystkim dla mężczyzn. Na palcach można policzyć autorki, które piszą dla kobiet – vide Zapolska. Jeśli mam przyjąć mało fascynującą rolę, byle grać – chyba lepiej, żebyśmy reżyserowała.

J.O.: Inna rzecz, że po wielu swoich własnych inscenizacjach Ania jest coraz trudniejszym partnerem, obdarzonym świadomością reżyserską. Grozi to konfliktem już nie charakterologicznym, a merytorycznym.

A.P.: Mam swoje zdanie na temat sztuki. Kiedy analizuję rolę, wcale

są... kopie Anny Polony na scenie. Pani osobowość jest dominująca...

A.P.: Był taki moment, kiedy pracowałam w słabszym teatrze, z mniej zindywidualizowaną grupą aktorską. W moim zawodzie wszystko polega na znalezieniu języka porozumienia. Jeśli takiego kodu nie uda się stworzyć, nie ma wspólnych poszukiwań. Reżyser albo przykazuje, albo pokazuje. Myślę jednak, że podczas pracy w dobrych teatrach w Krakowie, Katowicach, Gdańsku, takie sytuacje już mi się nie zdarzają.

– Czy Dorota Kolak, która zagra w Sopocie krnąbrną Katarzynę, była Pani studentką?

A.P.: Była i grała Katarzynę w szkole. Po zrobieniu dyplomu spotkała się z innymi reżyserami, stworzyła wiele świetnych ról – właśnie ten okres ją ukształtował. Jeśli w jej stylu aktorskim zostało coś z czasów studenckich, to... w końcu nie jestem taką złą aktorką, proszę pani. Ja też uczyłam się podglądając innych.

– Zadałam to pytanie dlatego, że dostrzegam w tym aktorstwie pewne rysy podobieństwa.

A.P.: Być może. Dorota grając rolę Katarzyny, trochę mnie naśladowuje. Mnie z życia. Podpatruje moje zachowanie.

Gdańska na każdą premierę Krzysztofa Babickiego. I namawiałem Anię do kontaktu z tym teatrem, z aktorami, którzy mogą zagrać Szekspira.

A.P.: Którzy grają Szekspira. I nie tylko. Podczas mojego pobytu w Trójmieście obejrzałam kilka spektakli i z radością stwierdziłam, że teatr Wybrzeże utrzymuje pozycję jednej z najciekawszych scen polskich. Jest tutaj wiele ciekawie skonstruowanych i dobrze zagrzanych wypowiedzi artystycznych.

– Jakie plany mają Państwo po premierze?

J.O.: Za tydzień w Katowicach jest premiera „Sexualnego zła” – Wieczór songów Weilla – w mojej reżyserii, nowa, rozbudowana wersja przedstawienia krakowskiego.

A.P.: Chcemy również rozruszać katowicki ośrodek TV, żeby zaprezentować dobrze rokujących aktorów Teatru Śląskiego.

Planujemy realizację „Mani Stuart” Schillera w reżyserii dyrektora teatru i mojego kolegi z roku Bogdana Toszy. Teresa Budzisz-Krzyżanowska zagra królową Elżbietą, ja zmierzę się z rolą Mani.

didaskalia: Joanna Chojka